

GAZETA W LUBLINIE

Dodatek do Gazety Wyborczej

20-005 Lublin, Górna 4A,

6.1 1.3 -03-93
Nr z dn.

PRZED PREMIERĄ W OSTERWIE

Bliźniacy z Narutowicza

Kiedy poprzednio odwiedzano Andrzeja Rozhina ze stanowiska dyrektora Teatru Im. Juliusza Osterwy, też zbliżała się premiera nowego przedstawienia. Wówczas był to bardzo udany „Sztukmistrz z Lublina” w reżyserii Jana Szumnieja. Nie da się tego powiedzieć o polskiej prapremierze musicalu „Bracia krwi”, na którego oficjalną premierę przyjdzie jeszcze poczekać, ale już grany jest dla publiczności.

Na lubelskiej scenie zbudowano namiastkę Londynu. Po lewej zapuszczone szeregowce z czerwonej cegły, jak w robotniczych dzielnicach zachodniego Londynu, po prawej schludne szeregowce brytyjskiej middle class. Do tego typowa angielska budka telefoniczna. Scenograficzna metafora Londynu, starannie podmalowana i bardzo funkcjonalna, nie ożyła jednak w Lublinie prawdziwym życiem.

Intryga, jak to w musicalu, banalna i tchawka, ale sprawnie opowiedziana. Tytułowych braci bliźniaków rozdzielono tuż po urodzeniu. Matka podejmuje dramatyczną decyzję: jednego z nich oddaje bezdzietnej kobiecie, u której zarabia sprzątaniem. Eddiego wychowuje rodzina zamożna, Mickeya uboga matka i londyńska ulica. Wbrew klasowym barierom i historycznie zazdrośnej przybranej matce Eddiego, chłopcy spotykają się i zawiązują chłopięco-indiańskim obyczajem braterstwo krwi. Los chce, by dorastali równolegle, nic nie wiedząc o prawdziwych więzach krwi, razem przekraczali inicjacyjne progi i razem umarli. Antyczne fatum używa współczesnych sposobów, by

udowodnić swoją władzę nad ludzkim losem – prochów, broni, rozboju, policjantów w angielskich czapach, nie spłaconych kredytów, recesji i bezrobocia. Do tego miłość, do tej samej oczywiście Lindy.

Fabula przepojona jest dyskretnym dydaktyzmem, mającym zapewne zniechęcić małałatów do odurzania się, chuligaństwa i brania złego przykładu. Ustami namatora fatum przypomina, że zaciągnięte kredyty przyjdzie kiedyś nieuchronnie spłacić.

Musical Willy Russella cieszył się wzięciem na West Endzie. Zarówno debiutującej w charakterze tłumacza Klaudynie Rozhin, jak i jej doświadczonemu już tacie nie starczyło sił, aby podjąć decyzję – albo wiernie kopiować londyńskie realia, albo śmiało przykroić musical do polszczyzny i polskich obyczajów.

Należałoby pamiętać, że w londyńskich autobusach nie stoi się, a dżentelmen, nawet bardzo młody, nie wkłada adidasów do gamituru. Albo też zapomnieć o detalach i śmiało nasz koloryt wpisać w londyńską ulicę, dbając, aby polszczyzna małałatów dźwięczała jak na Krakowskim. A konflikt dwóch światów, oczywisty w sztywno-hierarchicznej Anglii i naturalny w angielskim, gdzie sposób wystawiania się natychmiast określa przynależność społeczną, osadzić w polszczyźnie. Pani Klaudyna Rozhin nie wsłuchała się chyba dostatecznie dobrze w język naszych nastolatków, w ich przekleństwa i językowe igraszki. Brzmiały one w przedstawieniu archaicznie.

Naturalnym odbiorcą musicalu jest młodzież. Na drugim przedstawieniu

przedpremierowym byli wyłącznie ludzie w wieku licealnym. Tymczasem aranżacja i brzmienia muzyki dobrano cytując listy przebojów sprzed trzydziestu lat. Do tego aktorzy notorycznie potykali się o zbyt wysokie dla nich nuty. Nie wiem, czy z powodu zbyt małej skali głosów, czy szalejącego przeziębienia. Lepiej wypadało w chórze, kiedy aktorów wspomagały jakieś bardziej rozspiewane, tajemnicze głosy z tła.

Andrzej Rozhin zwykle sprawnie reżyserujący sceny zbiorowe, tym razem nie nadał im tempa ani malowniczości. Ruch sceniczny był banalny i niedbały, a tańce zdecydowanie poniżej możliwości zespołu.

Wszystko to sprawia, że ani aktorzy, ani też reżyser nie wpiszą chyba przedstawienia na listę sukcesów. Na scenie radził sobie jedynie Marek Mielczarczyk grający nieco demonicznego namatora. Także Jacek Gierczak i Robert Łuchniak – tytułowi bliźniacy – chociaż nieco wyrośnięci jak na ośmiolatków, przyzwyczajeni wypełnili karkołomne zadanie aktorskie, pracowicie walcząc z językiem przekładu.

Przeboje z West Endu warto grać u nas, pamiętając jednak, że oprócz dziesiątków teatrów londyńskiego Theatrelandu, działają w Wielkiej Brytanii setki, jeśli nie tysiące teatrów amatorskich, młodzieżowych i dziecięcych, śpiewających i tańczących musical. Angielskie dzieciaki niejednokrotnie śpiewają nie gorzej, a ruszają się znacznie zwawiej niż aktorzy z Teatru Osterwy. Kiedy dorastają, na West Endzie nie ma problemów z obsadą.

Mirosław HAPONIUK